

Jackson, stan Missisipi, U.S.A, 17 marca, 1949

Przed zakładem zegarmistrza zebrał się spory tłum gapiów. Szemrali między sobą z przejęciem, przerażeni tym, co niedawno się wydarzyło, ciekawi tego, czego jeszcze nikt nie wiedział. W powietrzu czuło się przykry niepokój. Panowało ciężkie napięcie, podobne do tych, które towarzyszą oznajmianiu złych nowin, mogących odebrać zdrowy sen na pół roku. W takich chwilach irracjonalny lęk wydaje się rzeczą oczywistą, jak dogłębne uczucie chłodu, gdy się wchodzi w środku zimy na bosaka do lodowatej rzeki. Twarze zebranych wyrażały ten swoisty typ zainteresowania, jaki widuje się często w przypadku czegoś skrajnie złego, co na szczęście spotkało kogoś innego. Taka mała przewrotność. Jednorazowy gest współczucia, trwający piętnaście minut. Potem trzeba iść na obiad albo wytrześć dywan.

Kiedy wynoszono trupa, tłumek ożywił się i zaczął żywo falować. Widok nie należał do przyjemnych i z pewnością takim nie był, bowiem każdy już wiedział, że zegarmistrz odszedł nagle, zmieniawszy nieco swój wygląd, i póki co tylko tyle było wiadomo. Sprawa wyglądała dość mętnie, by nie powiedzieć, przerażająco.

Dwóch krzepkich, barczystych mężczyzn o niewyraźnych spojrzeniach niosło czarny, plastikowy worek ze zwłokami. Byli jak zombie. Ich ruchy raziły sztywnością.

Patrzono jak ich znajomy, a dla niektórych przyjaciół, odjeżdża w ostatnią podróż do kostnicy.

Nikt z zebranych w posępnym miejscu nie zauważył młodego, wysokiego człowieka, z kruczoczarnymi włosami, brodą i wąsami w podobnym kolorze, który wtopiwszy się w gęszcz ludzkich ciał, stał tam i spokojnie obserwował. Beznamiętnie, jakby patrzył na przelot żurawi lub na czarną patelnię, na której młoda kobieta smaży w niedzielny poranek jajecznicę. Na jego twarzy igrał przedziwny uśmieszek. W oku tajemniczy błysk dawał wiele do zrozumienia. Ogólny spokój i opanowanie nie wyróżniało go absolutnie z grona dziesiątek innych, równie zwyczajnie wyglądających obserwatorów, których coś przygnało w to miejsce tego ponurego dnia. Stał tam jak oni i wodził wzrokiem po wszystkim, co wokoło wykonywało jakikolwiek ruch. Spokojnie, naturalnie. Jak gdyby nigdy nic.

Patrząc na niego z boku można było wnet pomyśleć, że tak naprawdę nic nie widział.

Jego twarz nie wyrażała smutku, przerażenia czy bodaj najzwyklejszego w takich sytuacjach zainteresowania.

Kiedy zabierano martwego zegarmistrza, tajemniczy mężczyzna niewiele zobaczył, bowiem, choć miał oczy szeroko otwarte, nic nie widział.

Z wyjątkiem czegoś, co było mu znane od dawna...

Od niepamiętnych czasów.

Od zawsze.

Śmierci...

Barcelona, Hiszpania, 5 lipca, 1957

Któregoś dnia stary pan Diego, otworzywszy swój zakład jak zwykle o godzinie ósmej, natychmiast

zaparzył sobie mocną kawę z dwóch czubatych łyżek z niewielką ilością cukru i usiadł szczęśliwy wśród dziesiątków zegarów, które wisiały na ścianach, stały pod nimi lub spoczywały na długim, czarnym stole, powleczone zielonym sukniem w oczekiwaniu na swoją kolej. Tu, w ich towarzystwie, czuł się jak w niebie, wolny od pospolitych trosk.

Gdy wchodził do tej magicznej krainy zegarów, nic innego nie liczyło się.

Spojrzał na nie dobrotliwie jak na członków rodziny i uśmiechnął się pod nosem:

- Nigdzie nie byłoby wam lepiej jak u mnie. Wiem, czego wam potrzeba. Czuję to przez skórę.

Wziąwszy do ręki jakąś leciwą, srebrną „cebule”, westchnął z zachwytem, zamykając oczy, tylko po to, by po chwili, trzymając w dłoni lilipuci zegarek wykonany ze szczerzego złota rozmarzyć się na dobre. Wzruszenie porwało go na moment szeroką falą.

Kochał swą pracę i ten czas, kiedy w swej pracowni, wśród mnóstwa przyrządów: jakichś dłutek, obciążków, śrubek, kółeczek i cieniutkich sprężyn, zmagał się od wczesnej młodości z przeróżnymi „chorobami” swych ukochanych czasomierzy, lecząc je z nich jak prawdziwy lekarz z powołania. Intuicyjnie wyczuwał, co któremu z nich dolega. Czasem wystarczała tylko krótka chwila obserwacji. Lub dotknięcie palcem. Diagnoza była wnet gotowa.

Ile ich w swym długim życiu naprawił – próżno by dochodzić. Na pewno tysiące...

- A wiecie, co? Niedawno skończyłem sto pięć lat, w czerwcu. Ależ ten czas leci! Czy to nie dziwne, że wciąż do czegoś się nadaję? Ja, taki stary, chodzący zegar. Inni już dawno w ziemi. Myślę o tym czasem, tak na poważnie...

I już miał sięgnąć po kawę, gdy nagle usłyszał, że ktoś zbliża się do jego zakładu.

Powoli otworzyły się drzwi i do środka wszedł nieznajomy mężczyzna, cicho i bezszelestnie.

Nie przywitał się, nie wypowiedział nawet jednego słowa, nie przemówił.

Utkwił swe spojrzenie w starym Diego i tak mijały minuty.

Leciwy zegarmistrz nawet nie drgnął, zastygnąwszy w nieruchomej pozie.

Milczenie połączyło tych dwóch na zawsze...

I coś jeszcze.

Gdy potem, po kilku dniach znaleziono martwego „lekarza zegarów”, jego wygląd mógł przerazić nawet najtwardszych śmiałków. Nie przypominał on bowiem człowieka. Stał się czymś innym. Wraz ze śmiercią nastąpiła przedziwna przemiana. Zmiana, jaka zaszła w jego powierzchowności poraziła dziką grozą tych, którzy go znaleźli – pewne młode małżeństwo, które przyszło po odbiór zegara ściennego.

To, co ujrzeli, zachowają w swej pamięci jako najgorszy koszmar, jaki przyszło im oglądać.

Kiedy tego samego dnia wnoszono ciało starego Diego w czarnym, plastikowym worku, wśród przypadkowych gapiów, którzy zebrali się pod jego zakładem, głodni niezdrowej sensacji, stał nieruchomo młody, wysoki mężczyzna z kruczoczarnymi włosami, wąsami i brodą i beznamietnym, zimnym spojrzeniem, wyrażającym coś na kształt politowania i pogardy, wodził po zebranych, i jakby od niechcenia co jakiś czas zerkał na ostatnią drogę sędziwego mistrza, którego zaniesiono do ambulansu. Po kilku minutach odjechano w kierunku prosektorium.

Nie patrzył z zaciekawieniem i wypiekami na twarzy, stojąc wśród spragnionych kolejnej, dziwacznej afery ludzi.

On już nic w tym nie widział, nic go nie mogło poruszyć.

Nawet śmierć.

Nawet ona, bowiem znał ją od dawna.

Od zawsze.

- Kiedy w końcu odbierzesz ten nieszczęsny budzik? Bez niego ciągle wstaję za późno i spóźniam się do pracy. W końcu mnie wyleją i dopiero będzie ubaw – zdenerwowanym głosem odezwał się mąż.

Następnego dnia, kiedy wracała ze swego biura, gdzie pracowała od pięciu lat jako sekretarka, wstąpiła, tak jak obiecała, do zegarmistrza, aby odebrać budzik.

Choć było już późne popołudnie, w zakładzie paliło się światło.

Lekko pchnęła drzwi wejściowe i po chwili znalazła się w środku.

- Dzień dobry, panie Brown – powiedziała wesoło.

Odpowiedziała cisza, podejrzana i zastanawiająca.

W głowie zapaliła się czerwona lampka.

Od pierwszej sekundy coś jej tu nie pasowało, coś nie wyglądało tak, jak należy – wewnątrz panował dziwny bezruch, a to, co unosiło się w powietrzu, przypominało smutek, który panuje na cmentarzach, wśród cichych, uśpionych w wiecznym śnie, nagrobków...

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby poczuć nieokreślony niepokój.

Spojrzenie na niego...

To, co ją natychmiast uderzyło, to osoba zegarmistrza...

Sędziwy „naprawiacz” zegarów siedział bowiem za swoim stołem i patrzył gdzieś w bok mglistym, bezcielesnym wzrokiem, jakby absolutnie nieświadom tego, że to czyni.

Bez cienia wątpliwości wpatrywał się w mroczny, słabo oświetlony róg swej pracowni, który tonął teraz w gęstych, zawiesistych ciemnościach. Nawet nie poruszył się, kiedy młoda kobieta weszła.

Przypominał do złudzenia drewnianą rzeźbę – spory kawałek martwego tworzywa, który artysta posadził na krześle, by go sobie obejrzeć.

Kobieta, tknięta złym przeczuciem, zbliżyła się do niego i podeszła na wyciągnięcie ręki.

Wtedy zauważyła coś jeszcze – w marnie oświetlonym, zatopionym w mroku rogu pomieszczenia, stał ktoś...

Wyraźny i konkretny.

Cofnęła się w pierwszym odruchu grozy. Potem jednak spojrzała. Raz jeszcze, drugi i piąty.

Gdzieś nagle ulotniły się pospolite, bzdurne myśli o zepsutym budziku, który naprawiony i obudzony do życia, uratuje kogoś od zguby i wprowadzi do życia nową, bezcenną jakość.

Młody, wysoki mężczyzna, z kruczocarnymi włosami, brodą i wąsami zdawał się ignorować czyjąś obcą obecność. Nie poruszył się nawet, nie okazał cienia zainteresowania prostym faktem, że obok nagle pojawił się ktoś jeszcze. Nie obchodziło go to. Przynajmniej na takiego wyglądał.

- Dlaczego on się nie rusza?! – krzyknęła w przypiływie paniki kobieta. – Co zrobiłeś z panem Brownem?! Gadaj, łajdaku!

Zrazu mężczyzna nie zareagował. Nie wykonał najmniejszego ruchu. Tkwił dalej w mrocznej niszy. Jednak po chwili, jakby porażony prądem, drgnął. Dziwnie i nienaturalnie. Wyglądało to źle, wręcz podle. Jego ciałem targnął tajemniczy spazm. Masywny i zły. Wtedy powoli, zaczął się ku niej zbliżać, jakby sunął w powietrzu. Jak zjawą, jak majak. Coraz bliżej i bliżej...

Nie myśląc wiele, w mgnieniu oka skoczyła ku drzwiom i uciekła z dziwnego miejsca, pełnego przerażającej ciszy.

Pewnie to i lepiej, że nie widziała tego, co nastąpiło później.

Ani ciała pana Browna, ani tłumu przygodnych, żądnych taniej, lipnej sensacji, prymitywnych gapiów, których przywiało znikąd w to atrakcyjne miejsce, gdzie sędziwy zegarmistrz pożegnał się nagle z życiem i gdzie można było popatrzeć za darmo na prawdziwą śmierć.

Nie widziała też młodego, wysokiego mężczyzny, tego samego, który stał u pana Browna w nieoświetlonym rogu jego pracowni, nieruchomy i milczący.

On znalazł się w tłumie, i tak jak poprzednio, tak i teraz nie okazał wzruszenia.
Bezciesny wzrok przesunął się z wolna po zebranych, bez emocji, bez cienia ekscytacji.
Stał tam i patrząc, nie zobaczył niczego.
Nawet śmierci.
Znał ją od dawna...

Manchester, Anglia, wiosna 1967

Po zamknięciu zakładu, stary Dick Berry ruszył prosto do domu. Dochodziła siódma. Czas kończyć pracę. Pora na życie rodzinne. Na wieczorne rozmowy i spokój domowego zacisza.
Czekała tam już na niego smaczna kolacja, przyrządzona jak zwykle przez jego prawnuczkę, Lilly, która mieszkała w jego dużym domu wraz z mężem i dziesięcioletnim synkiem.
Odkąd jego żona odeszła z tego świata po długiej, wyniszczającej chorobie, coś się w nim wypaliło, jakby jakaś istotna jego część została zabrana przez nią do grobu, coś najzwyczajniej zgasło, jak lichy knot świecy, nieodwracalnie i bezpowrotnie.
Wtedy, bardziej niż kiedykolwiek przez te pięćdziesiąt lat małżeństwa, poświęcił się ukochanym zegarom i w ich cichym, kojącym smutek tykaniu, odnalazł po jakimś czasie względną równowagę ducha i zapomnienie, na tyle, na ile było to możliwe w jego przykłej sytuacji.

Choć właśnie mijało trzydzieści lat od jej śmierci, dla niego było to nadal boleśnie świeżym wspomnieniem, jakby wszystko to zdarzyło się zaledwie kilka dni wcześniej.
Za każdym razem, gdy zbliżała się rocznica jej śmierci, czuł w sercu to samo ukłucie.
Niektóre uczucia nigdy się nie kończą.

- I mnie już czas się szykować do ostatniej drogi... - mówił wielokrotnie swej rodzinie. – Po co mi tak długo żyć? 30 kwietnia skończę sto pięć lat. Kto to pomyślał, żeby tak długo płatać się po świecie. Jestem już tym wszystkim trochę zmęczony.

- No co ty! – mawiali wówczas wszyscy. – Przeżyjesz każdego! Masz bardzo dobre geny!

Może nawet pobijesz rekord długowieczności?

Dick uśmiechał się wtedy cierpko i odpowiadał:

- Wolałbym, żeby to zrobił ktoś inny. Mnie to nie bawi. To bez sensu.

Zawsze imponował swym bliskim. Wszystkim, co zrobił i co robił nadal w swym długim, udanym życiu.
Nie miał wrogów. Miał samych przyjaciół. I tych, z którymi żył pod jednym dachem.

Lubili często mówić:

- Spójrz na siebie, dziadku. Jesteś silny jak byk. Nigdy nie miałeś skłonności do tycia. Dlatego zachowałeś takie zdrowie. Masz ogromną siłę, i charakteru, i mięśni. Pomimo wieku. Możesz jedną ręką podnieść nas wszystkich. Czyż to nie wspaniałe? Zwróć uwagę, że jesteś wciąż jak człowiek w średnim wieku...

On spoglądał na nich dobrodusznie i odpowiadał:

- Dajcie spokój. I po co mi to wszystko?

I jak każdego dnia, oprócz soboty i niedzieli, które spędzał zazwyczaj z synkiem swej prawnuczki, Joe, wracał znów do swej pracy, coraz częściej myśląc poważnie nad tym, co tak niby żartem, często mówił swym bliskim – nad zakończeniem swej ziemskiej wędrówki.

Nie były to myśli samobójcze, ani błaganie o śmierć. To, co czuł, można by określić jako naturalną potrzebę zamknięcia pewnego etapu czasu, gdyż pewna formuła, która kiedyś wydawała się ekscytująca i napawająca euforią, właśnie z wolna wyczerpywała się.

Stawała się męcząca i coraz mniej było w sercu radości, coraz ciężiej witało się każdy, nadchodzący

dzień. Jeszcze rok, może dwa, a stanie się to przekleństwem...

Chciał położyć którejs nocy swą starą, siwą głowę na poduszce i w ten sposób odejść.

Wiedział, że tam, dokąd wszyscy odchodzimy, będzie mu tak dobrze, jak było zawsze wśród bliskich za życia, które wydało wiele wspaniałych owoców i było udanym spełnieniem.

Może tam, w tej krainie nieśmiertelności, pozwolą mu reperować zegary?

W swym życiu nikogo nie skrzywdził, więc nie bał się wyruszyć w tę ostatnią podróż.

Nadeszła wiosna i świat obudził znów do życia. Rozkwitła na nowo roślinność, z odległych stron wróciły ptaki. Słońce ogrzewało czule ziemię, wysoko wędrując po nieboskłonie.

Dni stawały długie, a noce krótkie. Po raz kolejny obróciło się konsekwentnie koło czasu, a w ludziach pojawiła się ta sama, znana od zawsze, radość istnienia – potężna chęć życia.

Tylko Dick, z dnia na dzień, czuł jej coraz mniej i mniej.

I nie przestawał marzyć o chwili, która kiedyś musi nadejść i dać mu ukojenie.

- Opowiedz mi jakąś bajkę – poprosił któregoś razu mały Joe. – Taką fajną, wiesz.

Stary zamyślił się i po chwili odezwał się niepewnie:

- Fajną, mówisz?

- Tak, taką niesamowitą! Lubię jak opowiadasz o strachach i smokach. O diabłach też.

- Znasz już wszystkie bajki o nich. Ja sam o innych nie słyszałem.

- Ale może coś sobie przypomnisz? Proszę... - nalegał mały.

Joe kochał bajki, głównie te niesamowite i pełne przedziwnych stworów. Tym razem bardzo chciał znów posłuchać, zwłaszcza, że nikt ich tak nie umiał opowiadać, jak sędziwy zegarmistrz. Prawdę mówiąc, tylko on to robił. I pewnie dlatego był dla chłopca bohaterem.

- Jest coś takiego...ale nie wiem, czy powinienem... - zawahał się Dick.

- Opowiedz. Ostatni raz.

- No nie wiem...

- Chcę ją poznać – Joe nie dawał za wygraną.

- Dobrze. Więc słuchaj...

Stary rozsiadł się wygodnie w fotelu i głęboko wciągnął powietrze. Chłopiec usiadł blisko niego na podłodze i patrzył mu w oczy niecierpliwie. Po chwili usłyszał pierwsze słowa:

- Dawno temu, w pewnej rodzinie, urodziły się czworaczki. Czterech chłopców. Rodzice byli bardzo szczęśliwi z tego powodu i bardzo dumni, że los tak im pobłogosławił, jako że przez dłuższy czas nie mogli mieć dzieci. Wszyscy im zazdrościli tej gromadki i z radością patrzyli, jak z upływem lat dzieci rosną i rozwijają się.

Ojciec zajmował się rolnictwem, ale był człowiekiem postępowym i często bywał w mieście, aby podpatrywać, jak żyją ludzie, jak są ubrani i czym się interesują. Tam po raz pierwszy zetknął się z zegarami – nie takimi na wieżach kościelnych, lecz domowymi. Zapragnął kupić dla swej rodziny duży zegar z wahadłem. Tak też uczynił. Po jakimś czasie stał on już w ich domu i odmierzał minuty i godziny. Wszyscy byli nim zauroczeni. Co wieczór cała rodzina siadała naprzeciwko pięknego czasomierza i w milczeniu wpatrywała się w jego złote wskazówki i przepięknie wykonaną tarczę.

Nikt z nich nie wiedział, że zegar został wykonany przez człowieka, który parał się czarną magią, czyli miał kontakty z diabłami, i to właśnie one zamieszkały pewnej nocy w tym zegarze. Potem, niczego nieświadom ojciec tych chłopców, kupił go w mieście i postawił w domu, nigdy nie poznając prawdy.

Z biegiem lat rodzice coraz rzadziej patrzyli na zegar, zajęci swoimi sprawami, lecz chłopcy wręcz odwrotnie – każdą wolną chwilę, zamiast robić co innego, obserwowali czasomierz z przejęciem i nawet

nie poczuł, bo stało się to niepostrzeżenie, kiedy diabły mieszkające w pięknym czasomierzu weszły w dwóch z nich, bowiem z natury chłopcy ci byli źli i sprawiali wiele zmartwień i kłopotów swoim rodzicom. Ich dusze zachęcały do tego, by zło w nich zamieszkało. Wtedy zegar zatrzymał się na zawsze. Pozostali dwaj chłopcy byli mili, uczynni i dobrze się sprawowali. Nie mieli złych myśli, ani złych uczynków na sumieniu i któregoś dnia, w tej samej chwili, w ich głowach zrodził się ten sam zamiar, choć wcale się nie umawiali. Postanowili spalić zegar, nawet nie wiedząc, czemu to robią. Coś im kazało. Może czuli, że jest przeklęty i oszukiwał ich całymi latami swym pięknym widokiem naprawdę będąc śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Zanieśli go na łąkę i podpalili. Płonął długo i nie chciał spłonąć doszczętnie. Trwało to wiele godzin, choć nie powinno. Gdy ogień w końcu zgasł, chłopcy zakopali resztki głęboko w ziemi i wrócili do domu.

Nic nie wiadomo o tym, jak rodzice odebrali ich uczynek.

W dniu, kiedy cała czwórka ukończyła osiemnaście lat, pewnej nocy odeszli na zawsze z domu, nie mówiąc nic ojcu i matce.

Ruszyli w cztery, różne strony świata.

I ci źli, i ci dobrzy...

Potem wszyscy zostali zegarmistrzami i nauczyli się, jak naprawiać zegary.

Jednak obecność przez długie lata tajemniczego przedmiotu w ich domu zmieniła ich w kogoś, kim by się nigdy nie stali, gdyby tamtego dnia ich ojciec nie przywiózł z miasta owego cacka.

Stali się zjadaczami czasu.

Legenda głosi, że ich dzieci i dzieci tych dzieci, i tak dalej przez całe stulecia, dziedziczyły tę cechę. Dotyczyło to tylko chłopców. Dziewczynki były od tego wolne, nie miały w sobie tej mocy, lecz ich synowie stawali się z biegiem lat, tak jak ich poprzednicy, zjadaczami czasu...

- Fajne. Naprawdę mi się podoba – odezwał się nagle Joe.

- Cieszę się, chociaż nie wiem, czy dobrze robię mówiąc ci o tym – rzekł poważnie stary.

- Chcę słuchać dalej.

Dick uśmiechnął się i po chwili wrócił do swej historii:

- Ci chłopcy, którzy to wszystko zaczęli, nie byli tacy sami, jak już ci wcześniej powiedziałem. Ci niedobrzy nie mogli być podobni do tych dobrych. I nie byli. Posiadali inną wiedzę, daną im przez demony. Byli świadomi swych możliwości i swej przeklętej siły, podczas gdy tamci dwaj nie. Ich właściwości były zupełnie inne, ale o tym za chwilę.

Choć wszyscy z nich byli śmiertelnikami i można było ich zabić jak każdego innego człowieka, znacznie różnili się od reszty rasy ludzkiej.

Ci źli, naprawiając ludziom zegary, tak naprawdę kradli im każdą minutę, którą spędzili na reperowaniu ich czasomierzy. Na przykład, jeśli naprawa trwała trzy dni, nieszczęsny klient żył o te trzy dni krócej. Zasilaly one żywot każdego ze złych braci. Z tych dni tworzyły się tygodnie, z tygodni miesiące, z miesięcy lata...

Doskonale wiedzieli o tym i pożerali czas innym, bezbronnym ludziom.

Dzięki temu ich życie trwało bez końca...

Z biegiem czasu ich wygląd się zmieniał – stawali się coraz młodszy.

Mając ponad sto lat mogli wyglądać jak dwudziestoletni chłopcy.

Nikt nie wie, czy żyli sto lat, dwieście czy trzysta, i nic nie wiadomo na temat ich śmierci.

Może żyją nadal? Może wciąż naprawiają zegary i odbierają w ten sposób życie setkom niczego

nieświadomych nieszczęśników? To zagadka. Niewiadoma. Zły sekret.

Mógł ich podobno zabić tylko inny posiadacz tej mocy. Ten dobry. Ten, który oddawał swój czas i swoje życie temu, komu naprawiał zegar... I nawet o tym nie wiedział.

- Jak to? – spytał nagle mały. – Oddawał?

- Dokładnie. Tu następowało zjawisko odwrotne – czas spędzony na naprawie zegara pomniejszał lata jego własnego życia. Nie posiadał tej wiedzy, że traci swe życie.

- A co by było, gdyby przestał być zegarmistrzem? Czy wtedy byłby taki, jak normalni ludzie?

- Oni urodzili się, by wykonywać tę robotę – rzekł zdecydowanie stary. – Takie było ich przeznaczenie. Nic na tej ziemi nie byłoby w stanie go zmienić.

Mały nieco zmarkotniał i spuścił głowę.

Jednak po chwili znów gotów był słuchać opowieści Dicka.

Ten ciągnął:

- To nie koniec, Joe. Będzie coś jeszcze. Sam tego chciałeś. A więc słuchaj. Ci dobrzy zegarmistrzowie, ci których czas pożerany był przez ich pracę, dostali coś w prezencie od losu za to, że wtedy tamci dwaj wpadli na właściwy pomysł, spalili ten przeklęty zegar i zakopali na zawsze w ziemi. Ten dar był niezwykły. Wiązał się także nierozzerwalnie z czasem. Twórca złego zegara, w którym żyły demony, nie mógł go sprzedać przez sto pięć lat, i kiedy to się już stało, wkrótce zaginął w nieznanych okolicznościach. Co się z nim stało, nie wiadomo.

Krążą legendy, że nie był istotą ludzką...

Dobry los wszystkim tym, którzy oddawali część swego życia swej pracy, dał jako nagrodę całkiem spory wiek, do którego będą mogli spokojnie dożyć. To właśnie te sto pięć lat. Oczywiście mogli żyć dłużej. Ten niezwykły prezent należał im się bez dwóch zdań. Stało się tak dlatego, że gdyby policzyć lata, jakie zostałyby pożarte przez te wszystkie naprawy, okazałoby się, że musieliby żyć... po parę lat albo wcale!

- Naprawdę? – chłopiec poruszył się ożywiony.

- Tak. Nie mogło być inaczej. To prosta matematyka. Jest w tym jakieś ziarno prawdy.

Jeśli wierzyć legendzie, zawsze na świecie istnieli, i jedni, i drudzy – zjadacze czasu i ci, których czas pożerała ich ukochana pasja – naprawianie zegarów. Rodzili się przez stulecia ze swych rodziców. Ich ojcowie grzebali w zegarach. Ich ojcowie dali im to, o czym ci właśnie opowiedziałem. Tak to jest, chłopcze. Czasem jest jak jest, a nie tak, jak powinno być...

- O czym teraz pomyślałeś? – zapytał roztropnie Joe.

- Podobno, jeśli zjadacz czasu zabije czterech dobrych zegarmistrzów – dawców swego życia – dokładnie w roku przypadającym na ich sto piątą urodziny, wówczas osiągnie na wieki nieśmiertelność. Nikt go już nie będzie mógł zabić. Stanie się demonem doskonałym, który będzie zdolny pokonać każdego i wyrządzić każde zło.

Jego moc będzie niewyobrażalna... O tym teraz pomyślałem.

Mały spojrzał na Dicka i z przejęciem w głosie, jakby stał na krawędzi przepaści, powiedział:

- Ty masz przecież... sto pięć lat! Wiem, że masz w kwietniu urodziny. Czy jesteś tym dobrym zegarmistrzem z tej opowieści?

Stary popatrzył na niego dobrodusznie i parsknął śmiechem:

- Ty to masz pomysły!

- Nie jesteś?! – chłopiec nie odpuszczał.

- Ha, ha, ha!

- No powiedz! Proszę!

- Daj spokój. Rozbawiłeś mnie. Poważnie.

- Mów!
 - Co?
 - No czy nim jesteś.
 - To tylko legenda. Takie tam gadanie. Zwykła bajka, którą chciałeś dziś usłyszeć – odparł Dick spokojnie, jakby chciał uspokoić kogoś, komu cegła spadła na głowę.
 - Ale jesteś już taki stary...
 - No, no! Nie mów tak, bo robię się jeszcze starszy.
 - Może mówiłeś o czymś, co...
- Starzec spojrzał na niego uważnie i oznajmił:
- Nie. Ja tylko to słyszałem. Od mego ojca, a on pewnie od swojego. Mój ojciec, a twój praprapracoś tam, był także zegarmistrzem. Grzebał w zegarach, zegarkach, budzikach.
- Robił to samo, co ja, i to samo, co jego dziadek i ojciec tego dziadka. W mojej rodzinie taka była tradycja. To przechodziło z pokolenia na pokolenie. Jestem z tego dumny.
- Ile lat żył twój tata? – spytał nagle mały.
 - Dużo.
 - To znaczy?
 - Zgadnij – Dick nagle poczuł, że chłopiec może zostać kiedyś niezłym detektywem. Był dociekliwy i nieustępliwy i poprzez to posiadał niezwykle talent do odkrywania prawdy.
 - Chyba wiem...
 - Tak?
 - Tak.

* * *

Gdzieś pod koniec maja w zakładzie Dicka pojawił się wczesną porą młody, wysoki mężczyzna, elegancko ubrany, o kruczoczarnej czuprynie, gęstej brodzie i wąsach w tym samym kolorze, i uprzejmie poprosił o naprawę małego, zielonego budzika, który podobno działał niezawodnie przez parę miesięcy, aż nagle stanął i nawet wymiana baterii nie ożywiła go.

„Nie śpieszy mi się. Niech pan go porządnie przejrzy. Jakaś dziwna awaria, bez sensu. Taki ładny czasoodmierzacz. Mały, ale udany. Szkoda by go było wyrzucać. Pan da radę, prawda? Wpadnę za jakiś czas...”

Tylko tyle powiedział, delikatnie kładąc przedmiot na stole zegarmistrza.

Uklonił się i wyszedł.

W powietrzu pozostała po nim jedynie duszna woń drogich perfum...

- Nic pilnego... - rzekł pod nosem stary. – Zajrzy się do środka, co też tam z nim nie tak. Jakiś drobiazg pewnie. Bułka z masłem.

Przez kilka dni nie dotykał tego budzika, nie było to priorytetem – miał ważniejsze naprawy.

Kiedy zaczął bawić się tym popsutym, kiczowatym budzikiem, na który nikt posiadający ewidentne poczucie piękna nie zwróciłby nigdy uwagi, w środku plastikowego pudełka nie odkrył żadnej tajemnicy. Jedynie marny, nieskomplikowany układ śrubek i drucików. Standard. Tylko to. Nic więcej. I powietrze. Jednak jakoś stawiał opór.

Nie chciał, by go naprawiono, stanowczo sprzeciwiał się ludzkiej interwencji. Złośliwość rzeczy martwych? Wszystko na to właśnie wskazywało. Jednoznacznie. Niedwuznacznie. Nie zawsze sukces jest nagrodą za trud. Czasem uderza się głową w ścianę.

Mały budzik – wielki problem!

Dick dłubał w nim dokąd czuł, że jest sens, dokąd jego dłutka i maleńkie śrubokręty dawały nadzieję na kolejne zwycięstwo z martwą materią żywego czasu. Chciał postawić na swoim.

Wiercił tam szczerze i z pasją, tak, jak robił to przez całe swoje życie. Ta determinacja zawsze wyglądała tak samo. Rzecz jest dla człowieka, a nie człowiek dla rzeczy. Dlatego nie mógł zawieść. Musiał znaleźć sposób. Nie umiał przegrywać. Zawsze tak było. Tym razem nie przewidywał wyjątku od reguły. Przerywał i zaczynał, zaczynał i na nowo przerywał. Ocierał dłonią spocone czoło i spoglądał na coś, co nie miało prawa być mu przeszkodą.

Po kilku dniach mozolnych zmagania z wrednym drobiazgiem (w międzyczasie zajmował się także innymi zegarami), niespodziewanie odkrył ku swemu zdziwieniu, że powoli wyczerpuje mu się koncepcja odnośnie strategii pokonania paskudnego, plastikowego potworka. Żaden ze znanych od niepamiętnych czasów sposobów nie sprawdził się. Każda próba usunięcia usterki kończyła się fiaskiem. Nawet rozkręcenie na elementy składowe i obejrzenie każdego z nich z osobna pod kątem wychwycenia przyczyny przedziwnej „zapaści” nie skutkowało przełamaniem przykrego, drażniącego impasu.

Wtem nadeszło osobiwe olśnienie.

Myśl pewna, jasna jak słońce, wyrosła znienacka w mózgu...

- Przecież on jest zupełnie w porządku. Nie stwierdzam awarii. Nie widzę tu żadnego defektu. Nie znalazłem niczego, co mogłoby szwankować. Co więc jest przyczyną? On nie ma prawa nie chodzić...

Więcej go nie dotknął. Postawił na półce ze wstrętem. Chciał, aby to coś jak najszybciej zniknęło z jego zakładu. Nie życzył sobie tego tu trzymać. Widok szkaradnego bubla działał mu ostro na nerwy. Każde spojrzenie na złośliwy gadżet przypominało mu pierwszą w życiu przegraną. I to z czym – z kawałkiem nędznego plastiku, który nawet się nie popsuł.

Z niecierpliwością czekał na chwilę, kiedy ów młody mężczyzna przyjdzie i zabierze swój czasoodmierzacz w czorty. Nie mógł się go doczekać. Mało obchodziło go to, że nic nie wskórał.

Lecz zanim właściciel budzika pojawił się u Dicka, miał miejsce przedziwny, niewytłumaczalny wypadek, żywcem wzięty z krainy tysiąca i jednej grozy, w pełnym tego słowa znaczeniu, mogący nieźle zmącić spokój umysłu. Niepojęty i niepokojący. Wymykający się zwykłym, rozumowym tłumaczeniom.

Otóż któregoś poranka, po otwarciu drzwi do swej pracowni, kiedy już znalazł się w środku i rozejrzał się nieco po swych kątach, stary zegarmistrz stanął jak wryty. Zamarł jak posąg.

Nie potrafił poruszyć nawet najmniejszym palcem lewej ręki. Wstrzymał oddech i poczuł, że serce bije mu jak młot. Złapał się także na tym, że ciągu kilku sekund spociał się jak szczur. Zobaczył bowiem coś, co wprowadziło go w stan gwałtownego, paraliżującego osłupienia.

Półka, na której postawił wcześniej ów ohydny budzik, była pusta!

Małe paskudztwo zniknęło!

Nie było go tam!

- Co tu się wyprawia? – spytał sam siebie przerażony.

Spojrzał na podłogę – przeklęty przedmiot nie spadł na nią.

W mig przeszukał dokładnie całe pomieszczenie – nigdzie go nie znalazł.

Najzwyczajniej rozpułynał się w nieistnieniu.

Nie można było tak tego tłumaczyć. Przedmioty nie ulegają samoistnej likwidacji.

Gdzieś musiał być, lecz gdzie? Nie mógł przecież tak po prostu, zapaść się pod ziemię.

Hipoteza kradzieży czegoś tak lichego i trywialnego nie wchodziła w rachubę. Komu by się chciało

połasczyć na niewart funta kłaków dowód na to, że kicz istnieje i ma się całkiem dobrze. Zresztą ktoś mógłby to zrobić, skoro klucze do pracowni miał tylko on i nigdy ich nikomu nie dawał, nawet własnej rodzinie.

Druga para zapasowych wisiała w jego pokoju na kołku w szafie.

Tego dnia robota mu się nie szykowała.

Nie mogło być inaczej, skoro myślami był zupełnie gdzie indziej.

Zły i poważnie wyprowadzony z równowagi przedziwnym odkryciem, którego nigdy nie powinien był poczynić, wykonywał swą pracę jakby od niechcenia, bez przekonania, wręcz automatycznie, obserwując jednocześnie, jak jego nieruchome dotąd ręce drżą, uniemożliwiając precyzję ruchów. Raz nie trafił śrubokrętem w śrubkę, innym razem potracił dłonią małą kupkę drucików, które rozsypały się bezładnie po blacie stołu. Kiedy potem, ku swemu zaskoczeniu spostrzegł, że nie jest w stanie utrzymać w rękach czegokolwiek, odłożył precz wszystkie akcesoria i narzędzia i warknął pod nosem:

- Nic z tego dziś nie będzie. Robię sobie przerwę!

Wstał i ruszył ku drzwiom wejściowym z zamiarem udania się do domu.

Na szczęście nie miał daleko – niecałe pięć minut drogi idąc średnim tempem.

Chciał jak najszybciej położyć się wygodnie na kanapie i nie myśleć przez jakiś czas o niczym. Nie zmartwiłby się, gdyby świat na chwilę przestał istnieć i rozpląnął się w niebycie.

Potrzebował spokoju. Chwili wyciszenia wzburzonych nerwów. Miał w głowie zamęt i nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć sobie to, co właśnie widział w zakładzie. Jednak wiedział, że będzie musiał to zrobić. Nie zazna spokoju, jeśli nie dowie się, co się tak naprawdę stało i gdzie podział się ten paskudny budzik. To było teraz najważniejsze, aby osiągnąć utraconą równowagę umysłu.

Nie wiedział jeszcze, że nie będzie mu to dane, ani tego dnia, ani żadnego innego...

To nie on rozdawał tu karty...

One już zostały rozdane.

Kiedy wszedł do domu, wewnątrz nie było nikogo. Tylko jego ukochany pies Jerry, wierny przyjaciel na dobre i na złe, rzucił się radośnie na powitanie swego pana, stając jak zwykle na dwóch łapach.

Dick kochał powroty do domu. Takie zwyczajne, codzienne. Nie z dalekich podróży.

Te piątkowe i te wtorkowe. Zawsze był domatorem. Małe przyjemności dawały mu wiele, bo mało znaczy czasem bardzo dużo.

Wchodząc tego dnia do domu, poczuł zapach kwiatów w wazonie, które Lilly przyniosła poprzedniego dnia z ogrodu. Stały chyba w ich pokoju. Drzwi były otwarte. Rodzice Joe byli w pracy, a mały w szkole. Wszystko drzemało w cichym uśpieniu. Na ścianach grały światła. Słoneczne promienie bawiące się w chowanego. W powietrzu drgał zapach bzów i niewidzialny dotyk maja. Niby znane od zawsze cuda, od zawsze na nowo cieszące duszę. Wokoło szeptała cisza. Tylko wielki zegar ścienny, który dawno temu dostał w prezencie od kuzyna, głośno tykał w przedpokoju, przypominając o tym, że nic nie jest wieczne. W kuchni zrobił sobie herbatę i poszedł na trzecie piętro, gdzie mieszkał.

Jego dom był nieco za duży jak dla przeciętnej rodziny. Stanowczo za duży. Nawet jak dla dwóch rodzin razem wziętych, ale jego ojciec, John Berry, miał kiedyś taki kaprys i takie pieniądze, żeby wybudować sobie mały „hotel” i kiedy już powziął taki zamysł, nic na tym świecie nie mogło odwieść go od tej szalonej decyzji. I nie odwiodło. Zbudował to, co chciał i jak chciał. Po swojemu.

Nikogo nie zdziwiło nawet potężne ogrodzenie, wykonane z solidnej stali w formie niby parkanu, jakby celowo zaprojektowane jako mur obronny, bowiem ku niebu wystawały niebezpiecznie ostro zakończone pręty w kształcie starożytnych włóczy, niczym przestroga dla tych, którzy chcieliby naruszyć pewnego dnia ten teren.

- Teraz sobie trochę poleżę... - rzekł Dick, wchodząc do swego pokoju.

Usiadł na łóżku i zdjął buty. Spojrzał na swoje skarpetki. Były modne, różowe. Miękkie. Teraz się w takich chodziło. Rozejrzał się dookoła, jakby czegoś szukał. Potem zaczął pić herbatę i myśleć od nowa o tym paskudnym budziku.

Nawet nie poczuł, kiedy coś kazało spojrzeć mu na parapet.

Na ten sam parapet, który znał od wieków.

- Nie może być... - jęknął.

Przetarł ze zdziwieniem oczy i przyjrzał się uważnie raz jeszcze. To nie mogła być prawda. Byłoby to niewiarygodne do granic absurdu. Przeczające jakiegokolwiek logice. Zupełnie bez sensu, jak lot ku gwiazdom na spróchniałych drzwiach od stodoły. Jednak wzrok go nie mylił – pomimo swych lat nie nosił nawet okularów.

Tam, na parapecie stał ów kiczowaty bubel i... chodził!

Wskazówka sekundowa zwawo mknęła przez tarczę, mijając kolejne oznaczenia godzin i minut. Nie było wątpliwości – budzik był sprawny.

Przez dłuższy czas Dick nie poruszył się, nie wstał z łóżka. Siedział jak zaczarowany i z niedowierzaniem patrzył. W głowie miał bolesny chaos. Kłębowisko przeciwnych myśli nie przyniosło upragnionej odpowiedzi. W jaki sposób to pojąć? Jak nagle wytłumaczyć, że to coś stoi sobie teraz, jakby nigdy nie, na jego parapecie, w jego pokoju i w dodatku chodzi? Przecież opierało się wszelkim możliwym sposobom uruchomienia! Skąd więc ta nagła przemiana? I jak w ogóle się tu znalazł, skoro nikt go tu nie przynosił?

Miarka się przebrała.

Cierpliwość ma swoje granice.

Zwłaszcza ludzka...

- Zaraz ci pokażę, gdzie twoje miejsce! – wrzasnął nagle, zrywając się na równe nogi. – Teraz moja kolej! I wypowiedziawszy te słowa chwycił w dłoń ów wredny, zniechęcony przedmiot, zamaszystym ruchem otworzył okno i wyrzucił go z całej siły daleko, za ogrodzenie.

Było po wszystkim. Odetchnął. Zaklął pod nosem. Poczł chwilową ulgę, lecz nie na długo.

Wtedy bowiem zauważył coś, czego wcale się nie spodziewał, jako że nie miał aż tak bujnej wyobraźni, by wyobrazić sobie niemożliwe.

To, co ujrzał, było niestety rzeczywistością, która nie miała prawa zaistnieć w miejscu tak świętym i nietykalnym, jak jego dom, jego własny kawałek świata, który sam sobie stworzył i do którego dostęp mogli mieć tylko nieliczni wybrani i tylko ci bywali tu gośćmi.

Nigdy nie miewał omamów wzrokowych, ani żadnych innych zaburzeń percepcji, więc wiedział, że z jego umysłem jest wszystko w porządku.

W tamtej chwili, przez małą sekundę, zapragnął, aby był to tylko zwid.

Pobożne życzenie nie zostało spełnione...

Przy furtce wiodącej do jego domu stał nieporuszenie, jak mroczny posąg, właściciel koszmarne budzika, w czarnym garniturze, wyglądającym jak odświętne odzienie grabarza z Południa, którzy zakładają je tylko wtedy, kiedy chowają ważną personę, i patrzył mu prosto i bezczelnie w oczy, jakby chcąc w ten sposób wyrazić swoje daleko idące oburzenie tym niedawnym, karygodnym pokazem siły, godnym ostatniego barbarzyńcy.

Młody, czarnowłosy mężczyzna nie spuszczał z niego wzroku pchnął lekko bramkę i, jakby był tu panem na włościach, wszedł pewnie na teren posesji. Szedł sztywnym, zdecydowanym, wręcz wojskowym krokiem w kierunku domu w sposób, w jaki zazwyczaj idzie się, kiedy ma się w zamiarze

lada moment zaatakować kogoś lub wyrównać stare rachunki, które są kwestią „życia i śmierci”.

Każdy jego krok rozbrzmiewał w przestrzeni złym echem nienawiści, która pchała go bezwzględnie do nieuchronnego działania. Widać było po nim, że nie przyszedł tu na miłą pogawędkę, na jaką przychodzi się do ciotki w weekend, licząc na miły prezent lub na drobne wsparcie finansowe.

Wyraz jego twarzy nie był bynajmniej przyjazny – wręcz przeciwnie – mocno zmarszczone czoło i wąskie, zaciśnięte usta świadczyły o dzikiej wściekłości, jaka towarzyszyła każdemu jego ruchowi i temu, co działo się wówczas w jego mrocznym umyśle, w którym kiełkowały złe wizje.

Dick stał i patrzył, i pomimo tego, że domyślał się już, kim jest ów mężczyzna i po co przyszedł, nie ruszył się ze swego pokoju, choć mógł zapobiec temu, na co się najwyraźniej zanosilo.

Wiedział też, że drzwi wejściowe są otwarte. Nigdy ich w ciągu dnia nie zamykał. Taki miał od lat zwyczaj. W tej okolicy nie było złodziei. Ufał ludziom. Tym razem nie było wyjątku. Każdy mógł wejść. Zrozumiał ponadto, że i tak nie zdążyłby zbiec na dół ze swego trzeciego piętra i zamknąć je.

Spokojnie wyjął z szafy strzelbę i usiadł na łóżku.

Sięgnął po herbatę i dopił ją.

Odstawił szklankę.

Sprawdził potem, czy broń jest nabita.

Nie musiał tego robić – wiedział doskonale, że była.

Chciał jednak wiedzieć, że wszystko jest po staremu.

- Zawsze byłem gościnnie, ale dla nieproszonych gości mogę zmienić swoje zasady. Coś mi się widzi, że zaraz to zrobię – rzekł do siebie.

Już słyszał donośne kroki na schodach wiodących na jego piętro, już stawały się coraz głośniejsze, gdy wtem...ucichły nagle, jakby intruz stanął gdzieś niedaleko w wyrafinowanym oczekiwaniu na coś przewrotnego lub planując kolejny, nieprzewidziany ruch, który miał być pełnym zaskoczeniem...

Przez moment nic się nie wydarzyło – tylko cisza bezgłośnie szeptała dookoła swą niemą opowieść...

Stary drgnął i nastawił ucha.

W tej samej chwili drzwi wejściowe zaczęły się wolno otwierać, o kilka centymetrów na minutę, niepokojąco powolnie, jak gdyby gościowi zależało na gradacji koszmarnego, przytłaczającego napięcia, które miało być swoistym preludium do tego, co tego dnia musiało się stać i od czegoś nie było już ratunku.

Dick nie podniósł się. Nie uległ napięciu. Zachował zimną krew. Wycelował tylko swą strzelbę w miejsce, w którym spodziewał się zaraz ujrzeć czarnowłosego mężczyznę i czekał dalej.

Nagle spojrzał z ukosa na parapet i otworzył szeroko oczy. Poczuł, że kręci mu się w głowie i że nie lubi tego uczucia. Ta niespodzianka jawiła mu się jak marny dowcip idioty, który nie nawet czuje, że robi komuś przykrość.

Tam, jakby nigdy nic, stał przeklęty budzik, który niedawno wyleciał przez okno i wylądował sromotnie za ogrodzeniem, gdzieś w gęstej trawie, w której jest miejsce na odpadki.

Teraz wrócił i kpił sobie w żywe oczy ze starego zegarmistrza...

Stał tam, gdzie poprzednio i głośno tykał.

W tej samej chwili, kiedy to odkrycie zostało poczynione, drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wszedł bez pośpiechu tajemniczy gość. Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, żeby pozbyć się wszelkich wątpliwości – była to twarz notorycznego mordercy - zimna, beznamietna, zła...

Nie był nowicjuszem.

Zabijał już wiele razy – łatwo i bezlitośnie.

Ludzie to mięso, liczy się tylko czas...

- Przyszedłem po mój zegar – rzekł głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- Przyszedłeś po co innego – odparł twardo Dick.
- Kłamałem.
- Nie dostaniesz tego.
- Już to mam. Jeszcze nikt nigdy mi nie uciekł.
- Tym razem nie dasz rady. Zapomnij o nieśmiertelności. To cię ominie. Możesz mi zaufać.

Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo, a w jego oczach błysnęło coś na kształt tępej pogardy, która zazwyczaj idzie w parze z pychą i poczuciem wyższości.

Gapił się na starca, krzywiąc się w ohydny półmieszk.

- Ten pokój będzie ostatnim miejscem, w jakim dane ci było być za życia. Popatrz sobie jeszcze przez chwilę. Naciesz oko. Nie opuścisz już tego domu żywy. Grabarze już zacierają ręce...

I rzekłszy to rzucił się gwałtownie na zegarmistrza, wyciągając z jednego z rękawów długi, błyszczący nóż z wygrawerowanymi znakami, którym w mgnieniu oka zadał silny cios w brzuch.

Dick zwinął się z bólu, lecz nie wypuścił strzelby z ręki.

Nie upadł.

Zebrał się w sobie, niepokonany.

Trzeźwo oceniwszy swe szanse, zareagował...

Padł wystrzał, który trafił napastnika w nogę, roztrzaskując doszczętnie kość piszczelową.

Nóż potoczył się bezładnie po podłodze, śliskiej od świeżej, ciepłej krwi.

Wtedy starzec dźwignął się ciężko, z trudem wyprostował się i podszedł bardzo powoli do balkonu.

Zacisnął zęby. Bolało. Otworzył oszklone drzwi i oparł strzelbę o ścianę.

Był spokojny, jak bywał zawsze przez całe swe, udane życie.

Choć ból zdawał się narastać, choć czuł go w całym sobie, jak potężne, złe ciśnienie, nie uległ mu i bez wahania ruszył w kierunku leżącego mordercy.

Schyliwszy się nad nim, resztkami sił chwycił go mocno za ramiona i podniósł do góry.

Na nic zdało się bezładne szarpanie i ciosy wymierzane na oślep w jego głowę.

Dick nie poddawał się, bo wiedział, że nic nie może zmienić już biegu wydarzeń, które zaszły za daleko, i kiedy już w końcu stanął na balkonie, rzekł:

- Teraz ja dam ci twoją wieczność. To za tych wszystkich, którym nosiłeś do naprawy swój przeklęty budzik... - i wypowiedziawszy te słowa, wykorzystując całą swą ogromną siłę fizyczną uniósł szarpiącego się przeciwnika na wysokość swej twarzy i cisnął nim w dół na ostry, sterczący ku niebu setkami zaostrzonych jak starożytne włócznie, parkan.

Trup bezwładnie zawisł na nim niczym zużyty, tandetny manekin.

Martwe białka spoglądały na porażkę ciemności...

Z prawej nogi spadł but i poleciał gdzieś w trawę.

Stary zegarmistrz, dowleklszy się z trudem do swego łóżka, padł na nie ciężko i wtedy nagle poczuł, że bardzo chce mu się spać, że zalewa go ogromna, masywna fala dziwnej, porywającej go swą niesamowitą siłą senności, której już nie przewycięży, której się nie oprze.

Jeszcze nigdy w życiu nie chciało mu się tak spać.

Nie czuł już bólu, jedynie jakieś przedziwne, nieznane dotąd odrętwienie.

Powoli zamykając oczy, widział jeszcze przez chwilę swój pokój, w którym przyszło mu spędzić wiele lat, odkąd odeszła jego żona, i w którym opowiedział dziesiątki niezwykłych, niezapomnianych bajek małemu Joe, spoglądał raz jeszcze na stare jak on, wysłużone meble, lustro i szafę, jakby szukając czegoś po rozproszonych kątach.

Ciężko otwierając opadające powieki ujrzał parapet, na którym jeszcze nie tak dawno stał diabelski

budzik...

Teraz go tam nie było.

Wtedy po raz ostatni rzucił okiem na wiszący na ścianie zegar.

Jego ukochany.

Dostał go od ojca na piętnaste urodziny.

Bezcenna pamiątka...

Nigdy się nie psuł, nigdy nie późnił, ani nie śpieszył.

Gdy Dick spoglądał na niego coraz bardziej zamglonym, nieobecnym spojrzeniem, nawet nie zauważył, że zegar nagle stanął...

Wtedy stary zegarmistrz zasnął.

15 listopada 2012

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 13.12.2012 11:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.